

po premierze



scena zbiorowa



nie-Boska komedia we współczesnym sztafetu? Radykalne uwspółcześnienia klasyki często okazują się na polskich scenach kłeskami artystycznymi. Nie wystarczy przebrać aktorów w dzisiejsze stroje, dołączyć współczesną muzykę, zmienić realia, dodać pikanterii obyczajowej. Najczęściej pod skorupą takiego przebrania kryje się pustka interpretacyjna.

Spektaklu Krzysztofa Nazara, wydawałoby się, dotyczyć to przywary. Na dodatek dołączono do nich jeszcze ostentacyjną teatralność. Pojawiają się cytaty z estetyk innych twórców, zwłaszcza z dawnych spektakli Janusza Wiśniewskiego. Sporo daremnej efektywności, mizdrzenia się, udania, manieryczności. Czyli kłeska?

A jednak spektakl ten mnie dotknął. I mam wrażenie, że niebłaho. Mijały kolejne sceny, niektóre mnie drażniły, inne mi się podobały. Czasami któryś z aktorów, przecież wyśmienitych, zabłysnął kunsztem, to znów jakiś fragment olśnił urodą. Na przykład w scenie w domu obłąkanych głowa Żony (Dorota Segda) cienutką nitką „przypiętą” była do stołu-lóżka. Wreszcie nitka się zerwała – ot, życie zgasło. I nie o efekt tutaj chodzi, bo nastrój budował także przejmujący dialog. To znów pojawiały się niesłychanie drażniące pochodły wszelakiego rodzaju dewiantów, przedstawiciele subkultur, kłębowski ciał w szklanej klatce, wyświechtane symbole masowej kultury – i towarzysząca temu głośna, obsesyjnie-nie-miała muzyka. Jakby współczesność, czy raczej jej koślawa ikona, pulsująca, co raz zagarniała scenę.

Aż nadeszła scena rozmowy Męża (Roman Gancarczyk) i Pankracego (Krzysztof Globisz). Stół, ten sam, do którego „przypięta” była wcześniej Żona, teraz ustawiony został na samym środku sceny, krótszym bokiem skierowany do widzów. Po jego przeciwnych stronach, tuż przy rampie: Mąż i Pankracy. Na drugim końcu stołu – daleko – kilkuletnie dziecko, Orcio, czytający książkę (Księgę?). Wrażenie absolutnej symetrii. Zaczęła się rozmowa. Ważkie racje. Po jednej stronie: Bóg, tradycja, wartości pokoleń, po drugiej: krzywda, sprawiedliwość, równość, rozpoczynanie od początku. I nagle powiało czymś diabelskim, rozmówcy odbijali się w sobie nawzajem jak w lustrze, lecz nie potrafili tego rozpoznać, uświadomić sobie. Symetria dotknęła również słowa. Obaj

przeciwnicy, szermując przeciwstawnymi argumentami okazywali się równie wydrażeni, chorobliwie przywiązani do swoich poglądów, a zarazem całkowicie puści. Nie mogło być żadnego dialogu, bo światopogląd kurczowo przywłaszczony – bez wiary, tylko siłą rozumu – nie pozwalał na żadne ustępstwa. Bez niego zostałyby rozmówcom tylko całkowita pustka i rozpacz. I nie miałyby najmniejszego znaczenia, czy Hrabia i Pankracy zamieniliby się miejscami, argumentami. Dwaj wodzowie – rzecznicy wojny w imię własnej rozpacz, w imię nie odnalezionych wartości, mający nadzieję, że może przez walkę potrafią ich osiągnąć, odnaleźć sens. W głębi duszy wiedzący jednak, że u kresu czeka ich tylko rozpacz. Dziecko, spacerując po stole, to gładziło głowę jednego z dialogujących, to przytuliło się do drugiego, jakby chciało ich ostudzić, natchnąć odrobiną uczucia, ciepła, czystości.

Ta scena rozjaśniła poprzednie i tłumaczyła dalszy ciąg przedstawienia. Pozór i bezsens walki. Obóz Pankracego: banda indywidualuów, walczących o prawa ekspresji jednostki, o wolność, za którą nie kryje się nic. W strojach zaznaczała się tendencja do przekraczania przez każdego z osobna narzuconych zwyczajów i ograniczeń, a więc do swobody, przede wszystkim obyczajowej. Ale te „indywidualizmy”, połączone z groteskową grozą ruchów Rzeźników i popkulturowymi odwołaniami do religii spoiły się jedynie w przeraźliwy dyktat bezmyślnej masy. I obóz Hrabiego, ludzie – groby pobielane. Pozostałości odchodzącego świata, którego wartości im samym są już nawet obce.

Przeznaczeniem ostatecznie staje się walka o wartości, w które się nie wierzy. Mąż w Okopach Świętej Trójcy jest samobójcą, pociągającym wszystko w otchłań i wszystkich ku śmierci. W przedstawieniu Nazara zresztą Okopy nie bronią już niczego.

Zwycięstwo Pankracego jest zarazem jego przegraną. Walka się skończyła, trzeba żyć. A nie ma już po co.

W finale Anioł Stróż z wielkimi białymi skrzydłami (który wcześniej snuł się po scenie jak niektóre postaci w filmach Kiesłowskiego) prowadzi za rękę po pobojo wisłku dwójkę dzieci. Może jednak nie wszystko stracone. Może choroba pustki ich nie dotknie. Na razie w martwym świecie tylko one pozostały żywe.

Teatr Repertuar

Teatr Repertuar

Gruchala 2000, Nr. 40, DIDASZALIA